

JĘZYK POLSKI

WYDAWNICTWO KOMISJI JĘZYKA POLSKIEGO

AKADEMJI UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

BÓR I LAS.

Od początku naszej literatury używa się tych dwóch wyrazów obok siebie, i to w wymienionym powyżej porządku, nie robiąc między nimi wyraźnej i wybitnej różnicy. Znana pieśń zawiera słowa: *idzie żołnierz borem lasem, przymierając z głodu czasem*, a Wacław Potocki mówi: *nie dziwny niedźwiedź ludziom w borach, lasach, gajach* (Mor. 2, str. 378). Zwykle te dwa wyrazy stają obok siebie w liczbie mnogiej. *Bory i lasy* stało się utartym wyrażeniem, z którym łączy się pojęcie większych przestrzeni pokrytych drzewami. *Przedzierać się przez bory i lasy*, mówi się, nie mając na myśli jakiejś różnicy między borami a lasami. Ponieważ bory i lasy zamykają zwykle widnokrąg wsi polskiej, *za borami i lasami* znaczy tyle, co *daleko*. Wyrażenie to ma warjant *góry i lasy*, które jest tak samo używane, jak pierwsze. Zna je już Kochanowski, bo pisze *to górami, to lasy* (Pieśni 3, 6), *wysokie góry i odziane lasy* (Fraszki 3, 1).

Wyrażenia *bory i lasy* nie odczuwamy pospolicie jako synonimów w tem znaczeniu, że oznaczają te wyrazy pewne szczegółowe strony jednego pojęcia, lecz jedno i to samo pojęcie nazywa się raz borem, raz lasem. Zestawiono te dwa wyrazy z sobą, a na myśli miano tylko jedno pojęcie. Kochanowski używa, jak się zdaje, przeważnie wyrazu *las*, a *bór* tylko w połączeniu z *las*, niejako dla pełności wyrażenia. Nie robił on jednakże widocznie różnicy między temi dwoma wyrazami co do znaczenia, tak, że *bór* oznacza u niego to samo, co *las*. To można wnosić z wierszy Satyra:

Wieźcie z borów do Wisły bartnice i ławy
Palcie lasy na popiół, rąbcie na wańszosy,

gdzie możnaby bez szkody dla myśli przestawić te oba wyrazy.

W dokumentach pisanych po łacinie wyraz *las* tłumaczy się przez *silva*. Wyraz *bór* zajmuje w tychże dokumentach o tyle odrębne stanowisko, że nie kuszono się o przetłumaczenie go na łacinę, lecz zostawiano polski wyraz, dorabiając mu łacińskie końcówki. W ten sposób powstały: *borus, borrus, bora, borra, borrum*,

boreum. W zapisce sądowej z r. 1420 czytamy: *borea, silvam aut gaium*, a w dokumencie Zygmunta Starego z r. 1527, omawiającym opatrzenie dla niewydanej księżniczki mazowieckiej, która następnie wyszła za Odrowąża: *oppida, villas, borras, silvas, lacus et cetera omnia*. Jeszcze w r. 1750 czytamy w akcie sądowym: *in via publica borisque depraedatio*. Wyrazu *gaj* najczęściej także nie tłumaczono (*gayus alias gaj* Akta grodz. ziem. z arch. bern. we Lwowie 17, 545), chociaż można było użyć łacińskiego wyrazu *nemus*. Okoliczność, że tłumaczono zawsze na łacinę wyraz *las*, a nie tłumaczono *bór*, dowodzi, że nie zdawano sobie jasno sprawy z tego, co *bór* właściwie znaczy, i widocznie nie wiedziano, jak ten wyraz przetłumaczyć.

Z tego, co się dotychczas powiedziało, wynika, że już w dawnej polszczyźnie nie upatrywano różnicy między znaczeniami wyrazów *bór* i *las*. A jednak różnica musiała kiedyś istnieć, ale się tak rychło zatarła, że ogół ją bardzo rychło przestał odczuwać. Język wytwarza jako znak zewnętrzny na pojęcie zwykle tylko jeden wyraz. Najczęściej nawet znak na pojęcie przenosi się na inne pokrewne pojęcia, tak że ten sam wyraz służyć musi kilku pojęciom, czyli ma kilka znaczeń. Jeżeli zaś istnieje na jedno pojęcie więcej wyrazów, to synonimy te rzadko są zupełnie równoznaczne, lecz każdy podnosi szczegółową cechę wspólnego pojęcia. Stosunek między synonimami zwykle jest taki, że jeden wyraz zawiera znaczenie zasadnicze, a więc ogólne (genus proximum), a inne — cechy szczegółowe (differentia specifica). I tak niemieckie synonimy na pojęcie lasu są: *Heide, Holz, Wald, Hain, Forst*. Z tych *Wald* ma znaczenie najogólniejsze przestrzeni zarosłej gęsto drzewami; bliskiem jemu, bo zawierającym ogólną cechę, jest *Holz*. Las nazywa się *Holz* ze względu na materiał drewniany, który daje; *Heide* to przestrzeń nieurodzajna, piaszczysta, gdzie rosną karłowate drzewa; *Hain* to mniejsza grupa drzew, w której za pogańskich czasów składano bogom ofiary; *Forst* to las będący osobistą własnością, w szczególności jako teren do polowania (Lyon Eberhard's synon. Handwörterbuch Leipzig 1889 I. 729). Podobną klasyfikację można także przeprowadzić między wyrazami, służącymi na oznaczenie lasu w języku polskim. Jedynie *bór* i *las* używane są często, jak widzieliśmy, bez widocznej różnicy.

Dopiero sztuczna refleksja usiłowała w użyciu tych wyrazów zaprowadzić pewien porządek. Nastąpiło to stosunkowo późno, bo dopiero w przeszłym wieku. Za moich szkolnych czasów, które przypadają na lata 1860—1870, uczono, że *borem* nazywa się las, składający się z drzew szpilkowych, albo że *bór* to las rozległy, gęsty, podszyty, ciemny, głuchy. Znaczenie to zostało wyrazowi *bór* dowol-

nie podsunięte, bo ani faktyczne użycie, ani etymologia (o którą zresztą się nie kuszono) nie dawały do takiego pojmowania powodu. Było to więc prawo podyktowane zgóry, a wiadomo, że do takich apodyktycznych sądów dawniejsi nasi lingwiści, począwszy od Kopczyńskiego, okazywali zawsze wielką pochoptność. To znaczenie *boru* znajdujemy już u Lindego, który mówi: *bór las sosnowy, a potem w ogólności żywicznych drzew, a jeszcze ogólniej las gęsty, ciemny*. To samo powtórzył mniej więcej słownik Karłowicza. Z trzech części powyższej definicji słuszną jest tylko pierwsza. W myśl drugiej części Benedyktowicz jedną ze swych akwarel podpisał *w głębi sosnowego boru*¹⁾. Podobnie Aleksander Jabłonowski (Pisma VI, str. 134), Weyssenhoff w Unji, Smoleński w Krajobrazie polskim mówią o *boru sosnowym*. Niedawno, kiedy w rękopisie napisałem *las jodłowy*, redaktor uznał za stosowne to wyrażenie poprawić na *bór jodłowy*, podczas gdy zapiska sądowa z r. 1400, wydana przez Helcla (Starodawne prawa pol. pomniki II, 710), mówi o *silva jodłowa*.

W myśl trzeciej części definicji Konopnicka charakteryzuje ementarz w Awinjonie, na którym spoczywa Garczyński, jako *bór: jako bór czarny od wielkich prowansalskich jodeł, które go nakrywają wierzchem swoich kopuł, jako bór głuchy, kiedy te jodły zasumią, zahuczą nad nim, jako bór podszyty gęstwą traw, krzewin i niskich kamiennych krzyżów*. Sienkiewicz pojmuje *bór* jako las czarny, rozległy, gęsty, bo Ursus chce uchodzić z Ligją: »do boru? hej jaki bór, jaki bór«.

Pewne światło na znaczenie wyrazów *bór* i *las* rzuca dzisiejszy język, jeżeli sobie uprzytomnimy, jak się te dwa wyrazy jeszcze dziś używają. Nie trudno zauważyć, że częściej używa się wyrazu *las*, tak że *las* jest właściwym wyrazem, służącym do oznaczenia przestrzeni zarosłej dzikimi drzewami. Okaże się, że *las* można powiedzieć o każdym lesie bez względu na jakość drzew i inne okoliczności. W przysłowiach, w których idzie ogólnie o las jako przestrzeń zamkniętą, gdzie rosną drzewa, w przeciwstawieniu do otwartego pola, używa się wyłącznie *lasu* n. p. *kto się trusku boi, do lasu nie chodź* (z r. 1528, Acta Tomiciana), *natura wilka ciągnie do lasu* (warjant *do boru* przytacza Linde s. v. *bór*), *lepiej z lasu niż z tarasu* t. j. lepiej na wolności niż w więzieniu, *jeden sa sa, drugi do lasa*, z czego, jak się zdaje, przez nieporozumienie powstało *jeden do Sasa, drugi do lasa, im więcej w las, tem więcej drzew, nie wywołuj wilka z lasu, nauka nie poszła w las, wychowywać się w lesie*.

¹⁾ bo używając wyrazu w myśl pierwszej części określenia powiedziała by tylko: *w głębi boru*.

Jako coś wiecznie trwałego charakteryzuje las następujące przysłowie: *nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las*.

Bardzo pouczającym jest przegląd połączeń, w których te dwa wyrazy mogą się używać. Z góry jednak wypada mi zaznaczyć, że nie mam tu na myśli języka literackiego, bo nie wszyscy literaci przechowali poczucie właściwego znaczenia tych wyrazów, lecz potoczny, czyli raczej ludowy. Otóż *las* może się łączyć z wszelkimi możliwymi przymiotnikami, pochodzącymi od nazw drzew. Można więc powiedzieć: *las dębowy, sosnowy, świerkowy* albo *smrekowy, jodłowy, bukowy, brzozowy, olszowy, osikowy* i t. d. Mówi się także *las szpilkowy, liściasty, mieszany*, przenośnie *las masztów*. *Las* może się składać z wszelkich możliwych drzew, może być gęsty i ciemny, czarny i głuchy, ale i słoneczny i jasny. Natomiast do wyrazu *bór* nie można dodać przymiotnika określającego rodzaj drzew. Nie mówi się *bór dębowy, olszowy*, nie mówi się także *bór sosnowy*, choć niektórzy pisarze, jak widzieliśmy, tego połączenia używają. *Bór* znosi przy sobie tylko przymiotniki określające jego zewnętrzny wygląd: wielki, mały, długi, głęboki, ciemny, gęsty, rzadki i t. p. Jeżeli, jak wyżej wspomniano, niektórzy pisarze piszą o boru sosnowym, a Kopnicka pisze o boru z jodeł, to widocznie co do tego wyrazu stracili poczucie językowe. Lud pod tym względem nigdy się nie myli. W Wielkopolsce jest miejscowość, w której lud robi następującą różnicę: dwa terytoria, leżące przy sobie, nazywa jedno lasem a drugie borem. Terytorjum nazwane lasem jest rzeczywistym lasem, i to brzozowym, drugie zaś już nie jest lasem, lecz polem, na którym przed laty stały sosny.

Powyższe spostrzeżenia wskazują, że wyrazy *las* i *bór* miały pierwotnie zupełnie różną wartość. *Las* jest nazwą ogólną, *bór* szczegółową. Przeto zapiska sądowa lełowska z r. 1394 (Ulanowski Star. prawa pol. pomn. VIII, 5638) zawiera: *silva dicta bor*, co znaczy, że las, o którym mowa, jest borem. Zatem *las* oznacza miejsce lub przestrzeń zarosłą drzewami nieowocowymi, bo dla miejsca zarosłego owocowymi drzewami służy w języku polskim wyraz *sad*, który w południowej słowiańszczyźnie znaczy *park*. Wyraz *las*, brzmiący w językach słowiańskich także *les* albo *lis*, znajduje się w całej prawie słowiańszczyźnie. Nieznany jest tylko na półwyspie bałkańskim, gdzie się mówi *szuma* albo *gora*, bo wzniesienie terenu, czyli nasza góra, nazywa się tamże *brdo*. Jeżeli las jest małych rozmiarów, nazywamy go *gajem*, jeżeli bardzo wielkiej rozciągłości, tak że tworzy cały kompleks lasów — *puszczą*. Wielkich puszczy liczone dawniej w Polsce sześć: niepołomską, białowieską, zieloną, kampinoską, łomżyńską, kozienicką. Dawniej synonimem *lasu* była także

knieja, którego to wyrazu w tem znaczeniu obecnie się już nie używa. *Knieja* oznacza dzisiaj miejsce (niekoniecznie zalesione) dzikie, trudne do przebycia. Wyrazu *knieja* używano dawniej w związku z polowaniem n. p. *psu gończemu nie do myśli knieja* (W. Potocki *Moralia* 1, str. 202). *Knieja* była terenem leśnym do polowania, podobnie jak niemiecki wyraz *Forst*. W Pamiątkach Soplicy Rzewuskiego las, w którym pan Leon Borowski upolował psa, nazwany jest knieją: *nie daleko dworu jest knieja niewielka*, a Kito-wicz mówi o kniejach: *polowanie po cudzych kniejach wolne było* (Opis obycz. rozdz. 16 § 2 i częścię). Według Botaniki Kluka knieja jest sztucznie wydzieloną i jako taka oznaczoną częścią lasu. Dolina lesista albo wąwóz w górach nazywa się *debrza* albo *debra*.

(D. n.)

A. Danysz.

RYTMY I METRY.

1. Stosunek jednych do drugich.

Rytm i metr¹⁾ są pojęciami, określonymi jeszcze przez starożytnych; pojęcie rytmu jest obszerniejsze od pojęcia metru. Przez rytm rozumiemy jednostajną ciągłą zmianę momentów głosu i ciszy; przez metr — stałą miarę czasu, potrzebną do wypowiedzenia dwu lub więcej zgłosek; pewne więc wyrażenie może mieć rytm określony, więcej lub mniej jednostajny, ale rytmiczne to wyrażenie wtedy dopiero jest metrycznem, jeśli się dzieli na szereg cząstek, z których każda ma ściśle określone granice trwania w czasie. Metry, czyli miary, były w użyciu w językach, które odróżniały samogłoski długie od krótkich, tam bowiem jednostki rytmiczne mogły być równe, choćby się różniły liczbą zgłosek, i przeciwnie, ponieważ każda zgłoska długa miała wartość dwu krótkich. Wiersze miarowe przeto, o ile miały być równe, musiały się składać z równej ilości jednostek metrycznych, które nazwano stopami. W heksametrze np. było zawsze sześć stóp równych, z których każda liczyła cztery miary najmniejsze (mory): była daktylem — ∪ ∪ (2 + 1 + 1 = 4) lub spondejem — — (2 + 2 = 4) i tylko ostatnia mogła być albo spondejem, albo trochejem — ∪ (2 + 1 = 3), gdyż ten dopełniał się jedną morą pozawierszowej pauzy.

¹⁾ Dla dogodności używam spolszczonej postaci *metr* zamiast powszechniej używanego nieodmiennego *metrum*.

— ◡ ◡ — ◡ ◡ — — — — ◡ ◡ — ◡
 in nova | fert ani- | mus][mu- | tatas | dicere | formas.

W heksametrze była pauza śródwierszowa (czy też zawieszenie głosu), nie wliczana do miary stóp, którą nazywamy cezura, a która najczęściej wypadła w środku trzeciej lub czwartej stopy. W przytoczonym wierszu wypada ona w stopie trzeciej. Ponieważ w daktylu i spondeju zawsze akcentuje się pierwsza zgłoska, zatem z rozpatrzenia przytoczonego wyżej wiersza wyprowadzamy następujące ważne dla nas wnioski: 1) Stopy mogą być dwu- lub trzyzgłoskowe, a mimo to są równe. 2) Akcent wierszowy może się nie zgadzać z akcentem wyrazowym np. *in nova* (wyrazowy: *in nóva*), *fért ani-mús* (wyrazowy: *fért ánimus*). 3) Koniec stopy może nie wypadać z końcem wyrazu np. *fert ani- | mus mu- | tatas*. 4) Cezura może wypadać w środku stopy np. *ani- | mus][mu- | tatas*.

Oczywiście wiersze metryczne mogą istnieć tylko w językach, odróżniających zgłoski długie od krótkich, to też w grece i łacinie, skoro tylko zatracono iloczasy, powstał inny gatunek wierszy, bizantyńskich i średniowieczno-łacińskich, gdzie zamiast stóp iloczasowych podstawą wiersza stała się zasada liczenia zgłosek, przyczem wszystkie zgłoski, czy to akcentowane, czy nie akcentowane, czy to większą czy mniejszą ilość spółgłosek liczące, uważano za równe pod względem rytmicznym.

Tak więc wytworzyły się nowe typy łacińskiego wiersza średniowiecznego, w którym cechy charakterystyczne były następujące: 1) Wiersze miały określoną ilość zgłosek; wiersze krótkie liczyły nie mniej jak 6, długie nie więcej jak 13 zgłosek. Wiersze krótsze i dłuższe należały do rzadkości. 2) Wiersze 8-zgłoskowe i krótsze miały tylko stale umiejscowiony na końcu jeden akcent, zawsze zgodny z akcentem wyrazowym; mógł on padać na zgłoskę przedostatnią, albo rzadziej na trzecią od końca; najrzadziej na ostatnią; w danym utworze wszystkie wiersze (podobne) miały jednakowy akcent główny, t. j. we wszystkich musiał on padać na przedostatnią, albo na trzecią od końca, albo na końcową zgłoskę. 3) Wiersze, liczące powyżej 9 zgłosek oprócz umiejscowienia na końcu akcentu musiały się dzielić średniówką na dwie części; w miejscu średniówki musiał być koniec wyrazu; np. 10-zgłoskowy 5 + 5, albo 4 + 6 (w jednym utworze te typy nie mogły się mieszać z sobą, o ile utwór miał mieć rytm jednostajny); 11-zgłoskowe 4 + 7 lub 5 + 6 albo 6 + 5; 12-zgłoskowe 6 + 6 albo 5 + 7; 13-zgłoskowe 7 + 6, wreszcie rzadkie 15-zgłoskowe 8 + 7 albo 5 + 8. Wiersze 9-zgłoskowe w jednych utworach nie mają średniówki, w innych ją

mają. 4) Wiersze są prawie zawsze rymowane w przeciwieństwie do metrycznych.

Z porównania tedy wierszy metrycznych z rytmicznymi wypada: 1) że pierwsze mają określoną liczbę stóp, nieokreśloną — zgłosek, drugie zaś mają określoną liczbę zgłosek. 2) Akcenty wierszowe w wierszach rytmicznych muszą się zgadzać z akcentami wyrazowymi. 3) Średniówka w wierszach, gdzie jest konieczną, wypada zawsze z końcem wyrazu. 4) Średniówka do tego stopnia określa charakter wiersza, że równozgłoskowe a różnośredniówkowe wiersze nie mieszają się z sobą. 5) Średniowieczne wiersze łacińskie z zasady są rymowane. 6) Przy czytaniu wierszy metrycznych wyodrębniają się stopy oddzielne, natomiast gdy czytamy wiersze rytmiczne, prostą grupę rytmiczną stanowi wyraz, lub grupa wyrazów, rzadko kiedy — część długiego wyrazu.

Od wieku może XIII, a w każdym razie XIV ukazują się wiersze polskie, podobne do łacińskich średniowiecznych. Nie od razu wszystkie wyżej wymienione cechy zaznaczają się w nich w stopniu dostatecznym, ale w ciągu wieków sztuka wierszowania polskiego coraz bardziej się zbliża ku doskonałości, przyczem rozwój ten w niektórych okresach był bardzo przyspieszony, zwłaszcza w wieku XVI dzięki Janowi Kochanowskiemu, albo w XVIII stuleciu w czasach Stanisława Augusta. Do początków wieku XIX uprawiano prawie wyłącznie wierszowanie na zasadach wytworzonych w średniowieczu łacińskim, a i w późniejszych czasach ten sam system w ogromnym zakresie przeważa u naszych poetów i romantycznych, i późniejszych. Jan Kochanowski, będąc humanistą, nie naśladował przecież w Odprawie posłów greckich metru starożytnego, a późniejsi tłumacze czy to Wergiljusza, czy Homera lub innych poetów starożytnych, używali wiersza nowoczesnego w średniowiecznym typie.

Z wyżej wymienionych cech tego wiersza najtrudniej określić ściśle średniówkę. I rzecz dziwna: dawni poeci nie zastanawiali się nad średniówką, a jednak zachowywali ją wiernie; np. u J. Kochanowskiego niema ani jednego wiersza, w którymby miejsce domniemanej średniówki miało wypaść w środku wyrazu. Kochanowski posługiwał się wierszami, mającymi jednakową liczbę zgłosek, z różnymi średniówkami, i nigdy ich z sobą nie mieszał np. wierszy 13-zgłoskowych ze średniówką po 7-ej zgłosce, więc typu 7 + 6 użył w Psalmie 1 i in. Frasz. I, 9; II, 96 i in. Pieś. II, 24 i in., a typu 8 + 5 w Pieś. I, 8; Tren. 6. Wiersza 11-zgłoskowego mamy u niego też dwa typy: 5 + 6 w Psalmie 2 i in. Frasz. I, 3; I, 74 i in. Pieś. II, 5 i in. oraz 4 + 7 w Psalmie 150, Pieś. I, 22. Podobnie wiersza

14-zgłoskowego typ 8 + 6 (np. Psalm 80) i typ 7 + 7 (Psalm 11); wiersza 12-zgłoskowego typ 7 + 5 (np. Psalm 3) i 6 + 6 (np. Psalm 76) i t. d. Marcin Bielski w komedji *Justyna i Konstancji*, pisząc przestrożę o sposobie czytania swych wierszy, każe tylko uważać na liczbę zgłosek, nie wspomina zaś nic o średniówce, jednak mimo to sam przestrzega jej w praktyce niemal bez zarzutu.

Pierwszy — o ile mi wiadomo — Walenty Szylarski (*Gramatyka języka polskiego ucząca, we Lwowie 1770*), mówiąc o rodzajach wierszy, nie zapomina o średniówce, choć jej tą nazwą nie oznacza, według niego »gdy po 6 sylab mają wiersze, po trzech słowo zakończone być powinno«, dalej koniec wyrazu w wierszu 7-zgłoskowym ma wypadać po zgłosce 4-tej, w 9-, 10- i 11-zgłoskowcach po zgłosce 5-ej, 12-zgłoskowce dzieli na połówki, a w 13-zgłoskowcach każe kończyć wyraz po zgłosce 7-ej. Tomasz Szumski w *Dokładnej nauce języka i stylu polskiego, wydanej we Wrocławiu r. 1809*, zaznacza w wierszach mały przestanek i zawieszenie głosu (na tem miejscu, gdzie wypada średniówka). Pierwszy, jak się zdaje, Królikowski użył nazwy »średniówka« w *Prozodji polskiej* z r. 1821, na str. 107 pisząc: »Liczbę zgłosek nazywano miarą wiersza, którego całem prawidłem była średniówka, w krótszych wierszach jak dziesięciozgłoskowe nie zachowywana. Prawo jej było być blisko środka albo w samym środku wiersza; a tam, gdzie liczba zgłosek nieparzysta, na miejscu więcej o jedną od środka, chociaż i na to niezawsze zważano«. Tak więc Królikowski nie objaśnił, co nazywał średniówką. Euzebjusz Słowacki w *Uwagach nad rymowaniem polskiem* wspomina o średniówce, ale nie przywiązuje do niej większej wagi: »Harmonja wiersza polskiego — pisze on — równie jak innych żyjących w Europie języków zależy na odpowiadającej liczbie zgłosek, średniówce i rymie. Z tych jednak trzech rzeczy rym jest bezwątpienia jego największą ozdobą i wdziękiem«. (*Dzieła* II, 281, r. 1826). Rowiński (*Uwagi o wersyfikacji w Pracach Filologicznych* IV, 75 z r. 1892) pisze, że średniówka może być zawsze mniej lub więcej w czytaniu uwydatniona i że ją zawsze każdy poeta miał na myśli; tenże autor w *Encykl. Polskiej* III, 232 zaznacza, że »nie troszcząc się o budowę prawidłowych, regularnie po sobie następujących stóp, składacze polscy za pomocą stale umiejscowionej cezury przecinają wiersze na mniejsze rządki«. Rowiński przytem zaznacza gdzieindziej, że przed średniówką tak samo, jak i na końcu wiersza, powinien być jednakowo umiejscowiony akcent. Według Wóycickiego (*Forma dźwiękowa prozy polskiej i wiersza polskiego* r. 1912 str. 53) »średniówka jest to spojenie rytmiczne, rozcinające wiersz na dwie mniej więcej równe co do liczby

zgłoszek i czasu trwania połowy, a wyrażające się w zawieszeniu głosu, związanem z poprzedzającym wzmocnieniem rytmicznym... Średniówka dzieli i łączy zarazem; wybitne jej znaczenie polega z jednej strony na tem, iż, wyodrębniając połowę szeregu, ułatwia ujęcie jej rytmiki, z drugiej, że umiejscawia jedno wzmocnienie, z trzeciej zaś, iż, rozcinając wiersz na dwie części, ustanawia między niemi stosunek, który decydująco wpływa na ogólne wrażenie rytmiczne wiersza. W *Stylistyce i rytmice* (r. 1917) na str. 153 Wóycicki średniówką nazywa podział wiersza za pomocą pauzy na dwie mniej więcej równe części.

Widzimy przeto, że poglądy na istotę średniówki nie są ustalone, ale wszystkie przytoczone powyżej stosują się do istotnej średniówki. Zdarzają się jednak zupełnie mylne zapatrywania na średniówkę. Dr. St. Turowski w pracy p. t. *Wiersz w Panu Tadeuszu* (*Pamiętnik Literacki* X, XI, r. 1911, 1912) twierdzi, że tylko w 60% wierszy Pana Tadeusza średniówka przypada po 7-ej zgłosce, a zresztą znajduje się ona w różnych miejscach wiersza. Z tegooby wynikało, że 40% wierszy w Panu Tadeuszu byłoby kulawych, nierytmicznych, czego — jak wiemy wszyscy — niema. Wyniki badań dra Turowskiego polegają na nieporozumieniu: u niego średniówką jest przestanek deklamacyjny lub zdaniowy, logiczny np.:

Ach || któżby potem pisnąć śmiał o Targowicy?
Wiem, || że car wysłał gońców do Napoleona.
Błogostawioneż niechaj będą usta, || które...

Takie pojmowanie średniówki znajdujemy też u niektórych nowych uczonych francuskich lub niemieckich, ale na to pojęcie trzeba innego terminu, nazwę zaś średniówki należy zostawić dla tej cechy wiersza, którą oddawna średniówką nazywano.

W całym Panu Tadeuszu niema ani jednego wiersza gdzieby wyraz się nie kończył po 7-ej zgłosce, a to właśnie stałe umiejscowienie końca wyrazów już Szylarski oznaczył, jako konieczną cechę wierszy, Królikowski zaś, czy też ktoś przed nim, nazwał to średniówką. Zasadę kończenia wyrazu z 7-mą zgłoską przeprowadzono w Panu Tadeuszu z większą ścisłością, niż inną, która wydawałaby się ważniejszą, t. j. zasadę kończenia wyrazu z końcem wiersza, gdyż od zasady pierwszej nie mamy ani jednego wyjątku, gdy w drugiej wyłom stanowi wiersz żartobliwy (III, 29)

Zwała się Kokosznicka, z domu Jendykowiczówna; jej wynalazek epokę stanowi.

Określić naturę średniówki niezmiernie trudno: niezawsze tam,

gdzie ona przypada, zawieszamy głos wyraźnie; często zatrzymujemy się w innym miejscu, a średniówkę pomijamy, przynajmniej nie zdajemy sobie sprawy z tego, byśmy tworzyli tu jakąś pauzę; w wieku XIX starano się usilnie, by przed średniówką spadek głosu był ustalony, t. j. by akcent padał stale na przedostatnią, albo też stale na ostatnią zgłoskę, i dziś obowiązuje to poetów, ale dawniej nie przestrzegano tego bardzo ściśle; nie zdajemy też sobie sprawy z tego, żebyśmy bezpośrednio przed średniówką głos wznosili lub niżali, słowem sami właściwie nie wiemy, na czym — pod względem głosowym — polega średniówka, mimo to jednak jest ona czynnikiem obok liczby zgłosek, rozstrzygającym o rytmie wierszy. Ażeby tego dowieść, zrobimy kilka doświadczeń. Weźmiemy 8 wierszy z Pana Tadeusza i spróbujemy w różny sposób poprzestawiać w nich wyrazy:

1. W sień weszli. W tej ogromnej — rzekł Gerwazy — sieni
 Brukowanej tyle Pan nie znajdziesz kamieni,
 Ile tu beczek wina pękło w dobrych czasach;
 Szlachta z piwnicy kufy ciągnęła na pasach
 Na sejm sproszona albo sejmik powiatowy,
 Albo na imieniny, lub na Pańskie łowy.
 Podczas uczty kapela na tym chórze stała
 I w organ i w rozliczne instrumenty grała.
2. Weszli w sień. W tej — Gerwazy rzekł — ogromnej sieni
 Brukowanej Pan tyle nie znajdziesz kamieni,
 Ile tu wina beczek w dobrych pękło czasach;
 Szlachta kufy ciągnęła z piwnicy na pasach
 Sproszona na sejm albo sejmik powiatowy,
 Albo na imieniny Pańskie, lub na łowy.
 Kapela na tym chórze podczas uczty stała
 I w organ i w rozliczne instrumenty grała.
3. Weszli w sień. Rzekł Gerwazy: W tej ogromnej sieni
 Brukowanej nie znajdziesz Pan tyle kamieni,
 Ile tu pękło beczek wina w dobrych czasach;
 Szlachta ciągnęła kufy z piwnicy na pasach
 Sproszona na sejm albo sejmik powiatowy,
 Albo na imieniny Pańskie lub na łowy.
 Podczas uczty na chórze tym kapela stała
 I w organ i w rozliczne instrumenty grała.

Wrażenie rytmiczności mimo przestawiania wyrazów pozostaje niezmienione, ponieważ we wszystkich trzech warjantach koniec

wyrazu następuje wraz z 7-mą zgłoską; wrażenie to jednak ulegnie zupełnej zmianie, skoro tylko ten zasadniczy warunek złamiemy, t. j. kiedy 7-ma zgłoska przypadnie w środku wyrazu:

Weszli w sień. Rzekł Gerwazy: W tej ogromnej sieni
 Brukowanej Pan nie znajdziesz tyle kamieni,
 Ile beczek wina pękło tu w dobrych czasach;
 Szlachta z piwnicy ciągnęła kufy na pasach
 Na sejm albo sejmik sproszone powiatowy;
 Lub na imieniny Pańskie, albo na łowy.
 Podczas uczty na chórze tym kapela stała
 I w organ i w instrumenty rozliczne grała.

Wrażenie dokładnego ale zupełnie innego niż Mickiewiczowski rytmu odbierzemy przy innym rozmieszczeniu wyrazów (i małej ich zmianie); wtedy wypadną dwie średniówki w każdym wierszu (typ 4 + 4 + 5):

Weszli w sień. W tej || — rzekł Gerwazy — || ogromnej sieni
 Brukowanej || Pan nie znajdziesz || tyle kamieni,
 Ile beczek || wina pękło || tu w dobrych czasach;
 Szlachta kufy || wyciągała || z piwnic na pasach
 Zaproszona || na sejm albo || zjazd powiatowy,
 Lub na Pańskie || imieniny, || albo na łowy.
 Podczas uczty || na tym chórze || kapela stała
 I w organy || w instrumenty || rozliczne grała.

Albo też z jedną średniówką w typie bardzo rzadkim i mało dla ucha polskiego muzykalnym 6 + 7:

Weszli w sień. Gerwazy || rzekł: w tej ogromnej sieni
 Brukowanej tyle || nie znajdziesz Pan kamieni,
 Ile beczek wina || pękło tu w dobrych czasach;
 Z piwnicy ciągnęła || szlachta kufy na pasach
 Sproszone na sejmik || albo zjazd powiatowy
 Albo też na Pańskie || imieniny lub łowy.
 Kapela na chórze || tym podczas uczty stała
 W instrumenty różne || i też w organy grała.

Niekiedy nawet jedne i też same wiersze można czytać w dwojakim rytmie, nie zmieniając w nich nawet szyku wyrazów. Tak np. wiersze Konopnickiej możemy czytać, jako zwykle 13-zgłoskowce ze średniówką po 7-iej zgłosce:

Kiedy mi los posagiem || w świat dawał swe dary,
 Młodości wdzięk, urody || czar, dostatek mienia,

Słyszałam głos: Błogosław || ty szczodre ofiary,
Które mi Bóg poranny || świt twój opromienia.

Inny typ rytmiczny, i to właśnie taki, jaki poetka miała na myśli, otrzymamy, przyjąwszy dwie średniówki: po czwartej i po ósmej zgłosce, przyczem akcenty przed średniówkami stale padają na ostatnią zgłoskę:

Kiedy mi los || posagiem w świat || dawał swe dary,
Młodości wdzięk, || urody czar, || dostatek mienia,
Słyszałam głos: || Błogosław ty || szczodre ofiary,
Które mi Bóg || poranny świt || twój opromienia.

Przykłady powyższe, jak się zdaje, dostatecznie wykazują, jakie stanowcze znaczenie ma w wierszach średniówka: ona to rytmowi wierszowemu nadaje właściwy charakter. Z tem wszystkim jednak trudno określić jej istotę i sposób jej uwydatniania przy czytaniu wierszy: niekoniecznie musi być przed nią uwidoczniiona jednakowość spadku głosu; ma ona wartość taką, jaką mają granice taktów w muzyce, bo i w niej tempo się zwalnia lub przyspiesza nieraz dość nagle i w znacznym stopniu, a jednak nie psuje to słuchaczowi wrażenia pewnej równomierności danych taktów muzycznych. Wobec tego i dziś jeszcze za najcharakterystyczniejszą cechę średniówki uznać trzeba to, że w podobnych wierszach przypada ona po pewnej określonej zgłosce i że w miejscu, gdzie przypada średniówka, stale też przypada koniec wyrazu. W nowszej poezji, zwłaszcza od czasów romantyzmu jest też ustalone miejsce akcentu przed średniówką. (D. c. n.)

J. Łoś.

Potęgowanie pojęć i stopniowanie bezwzględne w języku polskim.

Zacznę od zwrócenia uwagi na rozmaite objawy natężenia, mianowicie na jego istotę. Oto potęgowanie jest zebraniem w jeden punkt energii, która miała starczyć dla większego obszaru; podnieta sprowadza w pewien punkt czasu wysiłek, zostawiający tem samem po sobie upadek (brak) sił; na esencję składają się cenne cząstki, zebrane z wyjąłowanego w ten sposób płynu i t. d.

Człowiek, nie zdając sobie nawet jasno sprawy z takiego zjawiska, postrzega je jednak i kieruje się niem w życiu codziennem. Tak np., gdy chcemy dokładniej rozpatrzeć dany obraz, zmrużamy oko, zbierając przez to w jeden punkt całą energję widzenia, czyli

potęgując tym sposobem siłę wzroku. W tym celu fotograf także wstawia między soczewki obiektywu diafragmę, t. j. przeponeę z małym w środku otworem, przez który przedzierać się musi widok obrazu, co powiększa jego ostrość.

Podobne powyższym spostrzeżenia, przeszedłszy przez myśl, znajdują swój wyraz w mowie: często, chcąc spotęgować wrażenie przedmiotu, koncentrujemy niejako ten przedmiot, i wyrażamy także językowo w postaci skupionej, zwężonej, w maleńkich rozmiarach, czyli w formie zdrobniałej. Widać to z wyrażen takich, jak: znalazł się już na koniusz(cz)ku dachu, na brzeżku przepaści, na rożku, na paluszkach, na czubeczku; ani orzeszka, ani grosika przy duszy; ani kawałeczka chleba; jeszcze słówko, jeszcze słóweczko (= słowo, stanowiące koniusz[cz]ek mowy). W wyrażeniach tych natężenie pojęcia polega na sprowadzeniu go do jego jądra, do jego istoty, czyli na wspomnianem wyżej skoncentrowaniu go niejako. Taka postać rzeczownika wyraża nie zmniejszenie ilości przedmiotu, ale tylko wyobrażane skupienie jego rozmiarów, a więc i spotęgowanie jego istoty: funt czy funcik, grosz czy grosik, grosiczek, są zawsze temi samemi wielkościami.

Zmieszanie takich sposobów mówienia z innemi, wyrażającemi właściwie rzeczywistą cząstkowość, przedstawiają może wyrażenia takie, jak: że też u was niema kawałka grzebienia, kawałka szczotki; w kuchni nieład: kawałka noża znaleźć nie można. Zwroty takie znaczą właściwie to, co wyrażenia poprzednie. Prawda bowiem, że i tu, i tam chodzi o rzecz drobną, ale tamta (grosik) jest skoncentrowaną całością przedmiotu, ta zaś (kawałek) jest małą dlatego, że stanowi jego cząstkę. Wyrażenia, o których tu mowa, znaczą naprawdę: grzebienia, szczotki, noża niema, choćby na lekarstwo, a więc tutaj chcemy niejako spotęgować wrażenie przedmiotu negatywnie, żeby wyrazić nieoczekiwany lub niepożądany brak jego.

Com tu powiedział o zdrobniałych postaciach rzeczowników, ściąga się i do przymiotników oraz do przysłówków od nich urobionych. Bo wszakże wyrazy: zdrowiutki, zdrowiuteńki, trzeźwiutki, trzeźwiuteńki, widniutki, widniuteczki, prościutki, prościutko, prościuteńko i t. d. przedstawiają również spotęgowane pojęcia, t. j. znaczą: bardzo, nader, ze wszystkim, zupełnie zdrowy, trzeźwy, widny, prosty, prosto, co widać z wyrażen podobnych, jak: lek-komyślna! nowiuteńki kapelusz oddała za stary; dziwna rzecz: wrócił z pijatyki trzeźwiuteńki; nie mi już nie dolega, czuję się zdrowiuteńkim; stąd już bliżutko do domu; nie wstydził się pokazać naguteńkim; ryba jeszcze żywiuteńka, a już ją w garnek kładą;

prościuteńko jak wystrzelił; wypił duszkiem pełnuteńką szklanę wódki; droga równiutka jak po stole; papier jeszcze czyściuteńki.

Im więcej wydłużają się zakończenia takich wyrazów, tem więcej owo spotęgowanie zbliża się do ostatecznych granic, jak to widać z postaci: młodziutki — młodziuteńki — młodziutenieczki; zdrowiutki — zdrowiuteńki — zdrowiutenieczki itp.

A więc i przymiotniki oraz ich przysłówki, jak widzimy, potęgują znaczenia w ten sam sposób, jak i rzeczowniki, t. j. za pomocą form zdrobniałych.

Na podobieństwo przymiotników zachowują się niektóre zaimki i przysłówki, nie urobione od przymiotników. W ten sposób powstały wyrazy: samiuchny, samiutki, samiuteńki, samiutenieczki, takuchny, takutki, takuteńki, takutenieczki, takuśki, takusieńki, takusienieczki, wszyściutki, wszyściuteńki, wszyściutenieczki, wszyściuchny, kaździutki, kaździutenieczki, kaździuchny, kaździusieńki, kaździusienieczki; dokolotka, dokoluteńka, dokolutenieczka, dokolusieńka, dokolusienieczka, powolutku, powoluteńku, wokolutko, wokoluteńko i t. d.

O przymiotnikach i przysłówkach mówią nam gramatycy polscy, że przybierając zakończenia: *szy*, *ejszy*, tworzą one postacie stopnia wyższego i najwyższego wtedy, kiedy zachodzi potrzeba oznaczenia większej ilości przymiotu w danym przedmiocie, aniżeli w innym; że zatem stopnie te wyrażają pojęcia względne. Powstawanie tedy nowych pojęć tą drogą można nazwać stopniowaniem względnem. Powyższe jednak spostrzeżenia doprowadzają mię do wniosku, że zakres stopniowania jest u nas szerszy; że język polski używa nadto i stopniowania bezwzględnego. Takim stopniem są omawiane wyżej postacie napięcia przymiotu, czyli poprostu stopnie przymiotu. To też język nasz nie robi różnicy między postaciami spotęgowanemi, o których mówiłem, a stopniem, nazywanym w gramatykach najwyższym. Widać to z wyrażeń takich, w których postać stopnia najwyższego przymiotnika nie występuje wskutek porównania, ale jako forma wyrażająca bezwzględne napięcie przymiotu. A więc mówimy: Już najwyższy czas zacząć; najukochańszy ojciec; jestem tego jak najpewniejszy; mój najdroższy i t. p. Tłumacząc łacińskie superlatywy, oddajemy je nie tylko przez stopnie najwyższe, ale czasami i przez postacie wyrażające ostateczne napięcie pojęcia. Tak np., w Psalterzu florjańskim przymiotnik *altissimus* *najwyższy*, przełożono na polskie przez wierchni. Nasz Mączyński (Lexicon latinopolonicum, r. 1564, Królewiec) wyraża się: *Ipsissimus*, *wirudny* (= wierutny), prawdziwy, prawdziwie ten; *wierudną* prawdę mówisz, *ipsissimam* veritatem; *ipsissimus* nebulo = *wierudny*

łotr. Wyrazy: sanctissimus, reverendissimus, celsissimus, clarissimus wykładamy na polskie przez: przenajświętszy, przewielebny, przesławny i t. p. Knapski mówi: Długo mi się wikłał, na końcu języka mi już był in *summīs* labris mihi erat. Aptekarze *wierzchołki* gałązek, z którymi mają do czynienia, nazywają *summitates* (od *summus* = najwyższy).

Podobne dane utwierdzają nas w przekonaniu, że superlatywy przeznaczył język właściwie do wyrażania spotęgowania pojęcia wogóle, a więc bez względu na to, czy ono wynika z porównania, czy też występuje jako pojęcie bezwzględne.

Jak wiadomo, język rosyjski używa do urabiania stopnia najwyższego zaimka *sam* (*samyj wysokij* = najwyższy); otóż, i język polski, potwierdzając niejako moje zdanie, że formy, potęgujące pojęcia, i stopnie najwyższe, odczuwane są jako jedno i to samo — używa tegoż zaimka raz dla urobienia stopnia najwyższego, drugi raz do wyrażenia formy potęgującej wogóle. Tak np., w gwarach spotykamy takie superlatywy. Piwo *samo* dubeltowe, pierożek *sam* pszenny. Ze względu na swoją formę takie sposoby mówienia, nie różniąc się od rosyjskich wyrażen: *samyj wysokij* i t. p., są niby stopniami najwyższymi; ze względu zaś na znaczenie wykazują wogóle spotęgowanie i znaczą: piwo *czysto* dubeltowe, pierożek *czysto* pszenny, czyli niejako **najpszenniejszy jaki być może*.

Jak w języku rosyjskim tenże zaimek *sam*, urabiający stopnie najwyższe, używa się i do urabiania postaci spotęgowanych rzeczowników (np. na samom konce, na samom wierchu), tak i język polski posiłkuje się nim w tymże samym celu. Mamy tedy wyrażenia: na samym początku, na samym wstępie, na samym końcu, na samym brzegu, rogu, czubku, na samym środku, od samego rana, drzę na samo wspomnienie, w sam czas, w samą porę, w sam raz, suknia do samej ziemi, czekał do samego wieczora, w samej rzeczy, do samej śmierci, na sam przód, na samym wierzchu, pod samym spodem, w sam środek, w kruchcie i w samym kościele, na same tylko przygotowania wydano tyle, a cóż dopiero..., sam głód zmusi go do tego (= już choćby tylko głód), sam (= nawet) ojciec święty dowiedział się o Janickim i kazał go koronować w Padwie, sam przeciwnik mu to przyznał, sama sprawiedliwość, samo uczucie ludzkości tego wymaga, sam rozum dyktuje, sama treść, sama esencja, sam wybór, sam kwiat czego, przyznaj (ty) sam, że..., miał, czego tylko sam zapragnął i t. d. Dla jeszcze większego spotęgowania pojęcia stopniujemy w podobnych razach i zaimek *sam*, mówiąc np.: na samiutkim brzeżku, rogu, na samiuteńkim spodzie, do samiutkiego rana, samiutkie zgręzy. Najesencjonalniejsze wino,

nie wyciskane, samo z jagód ciekące, według świadectwa Troca i Lindego, nazywano *samotreść*

Tenże zaimek *sam* dodaje się również i pleonastycznie do wyrazu już wzmocnionego przez cząsteczki: *-że, -ż*: takiż sam, tenże sam.

Zgodnie z taką rolą tego zaimka spotykamy wyraz *sam* i w znaczeniu cząsteczki wzmacniającej, potęgującej: *że, ż* oraz wyrazów: *właśnie mianowicie*, co widzimy w wyrazach takich, jak: *taki sam, ten sam, tak samo* (= takiż, tenże, takóŜ, taki właśnie, taki mianowicie).

Wzmacnianie pojęć przez zaimek *sam* nie jest oczywiście cechą wyłącznie tylko języka polskiego: w łacinie np. widzimy wyrażenia takie, jak *eo ipso die, in ipsam flammam incidit, ad ipsos ejus pedes* itd., itd.

Z tego wszystkiego, com tu powiedział, wynika

- 1) że oprócz stopniowania porównawczego, język zna i stopniowanie bezwzględne;
- 2) że stopniowaniu bezwzględnemu podlegają przymiotniki, przysłówki, zaimki i rzeczowniki, a więc i wyrazy nie oznaczające przymiotu, któryby nadawał się do stopniowania znanego dotąd w gramatykach;
- 3) że zdrobniałe formy wyrazów odgrywają w języku rolę wspomnianej tu na początku diafragmy, przedstawiając przedmioty w skoncentrowanej, a więc i w zaostrojonej postaci (na brzeŜku, na koniusz[cz]ku, zdrowiuteńki, nowiuteńki i t. p.);
- 4) że tym sposobem formy zdrobniałe wykazują trojakie znaczenie: a) wyŜej wskazane, b) wyrażają przedmioty o małych rozmiarach (stolik, stoliczek, ogródek, pasek, książka, książeczka, kolejka, nitka, kółko i t. d.), a ponieważ przedmiot drobny, delikatny wywiera na nas uciészne, miłe i t. p. wrażenie, stąd formy zdrobniałe otrzymują także c) znaczenie pieszczotliwe (koteczek, usteczka, mateńka, kluczyzek, masełko, madziudzi, cieplutki, słodziutki, milusi i t. d.);
- 5) że wyraz *sam*, oprócz ogólnego znaczenia (jedyny, samotny), słuŜy do wyrażania pojęć spotęgowanych (na samym końcu, sam wybór, sam kwiat i t. p.).

Władysław Niedźwiedzki.

Z dziedziny stylistyki.

O stylistyce daje się nierzadko słyŝać to samo, co o logice: że jest wyłącznie formalistyczną a przeto zbyteczną. »Ani logika —

mówią — nie uczy myśleć, bo przecież myślą prawidłowo i ci, co się logiki nie uczyli, ani stylistyka nikogo pięknie pisać nie nauczy. Jeżeli tak, to pocóż mamy wiedzieć o najrozmaitszych tropach i figurach, których nazwy, bardzo uczenie i niezwykle brzmiące, obciążają tylko pamięć i nikomu żadnej korzyści nie przynoszą? Nie potrzebujemy też znajomości tych tropów i figur dla silniejszego odczucia piękna czytanych przez nas utworów poezji, gdyż w dostatecznej mierze piękno odczuwamy samorzutnie, a nie wierzymy w to, aby zastanawianie się nad rodzajami przenośni lub zwrotów krasomówczych otworzyło nam oczy na zalety utworu, który samo naszego uczucia lub do naszej wyobraźni nie przemawia«. Wy-myślono też bałamutną zasadę: »Nie to piękne, co piękne, ale co się komu podoba«. Bałamutną istotnie jest ona, gdyż zaprzecza temu, co sama uznaje za istniejące przedmiotowo (*nie to jest* piękne, co *jest* piękne), stwierdzając jako przedmiotowe to, co sama uznaje za podmiotowe (to *jest* piękne, co się *komu podoba*).

Zarzuty, wytaczane przeciwko stylistyce, jako nauce, dotyczą więc dwu jej zadań praktycznych: pierwsze polegałoby na teoretycznym i praktycznym wdrażaniu w pewne sposoby wypowiedzania myśli i uczuć w słowie i piśmie; drugim byłoby dopomaganie do wyciągnięcia z utworów literackich w najwyższym możliwym stopniu zadowolenia estetycznego.

Co się tyczy pierwszego zadania, to sami autorowie naszych podręczników stylistycznych twierdzą, że stylistyka jako nauka normatywna tylko w pewnym nieznacznym stopniu może komuś pomóc do wyrobienia sobie własnego stylu. Piotr Chmielowski (*Stylistyka polska*, Warszawa 1903) przymioty wysłowienia dzieli na: 1) gramatyczno-logiczne, 2) estetyczne, 3) twórcze. O twórczych pisze on, że niepodobna pomóc do ich wyrobienia w sobie, gdyż »talent je daje, a wprawa może je tylko od pewnych wybujałości i nieprawidłowości uchronić«. Z tego by więc wynikało, że Chmielowski uznawał za możliwe nabycie sztuczne przymiotów pierwszego i drugiego rodzaju. Jeśli jednak zważymy, że przymioty estetyczne w ogólności zależą w wysokim stopniu od wrodzonego smaku i że brak smaku żadną nauką zastąpić się nie da, dojdziemy do przekonania, że praktyczna wartość stylistyki, jako nauki mówienia i pisania, schodzi do rozmiarów bardzo drobnych.

Zgadza się z tem inny autor stylistyki, Adolf Kudasiewicz, (*Stylistyka czyli teoria stylu*, Warszawa 1865), który natomiast inne przypisuje tej nauce znaczenie: »Stylistyka — pisze on — nie da myśli, kto się o nie wcale nie stara; nie da trafności wyrażenia, kto rozumu nie kształci, lub mu z natury zdrowego sądu niedostaje;

nie da wyobrażenia o harmonji wysłowienia, kto ma ucho fałszywe; nie uzdolni do tworzenia, do produkcji pisarskiej, kto nie ma w sobie poczucia twórczego; — ale podaje prawa, których się przy wolnem produkowaniu trzymać trzeba; uczy rozumieć znaczenie form przedstawienia; słowem daje znajomość teoretyczną, jest niejako techniką pisarską«. Dalej zaś Kudasiewicz znacznie wyższe postępowanie stylistyce przypisuje: poprawę smaku powszechnego, pisze bowiem: »Nauka stylu przy zwiększonej potrzebie czytania i przy mierności utworów literatury beletrystycznej tem jest konieczniejszą, im bardziej przez nie uczucie dla stylu pomieszane i stępione jest w czytających«.

Mimo jednak wszelkich wątpliwości o istotnym pożytku stylistyki nauka ta, jak zresztą wszystkie inne nauki, nawet najbardziej teoretyczne, zrodziła się pod wpływem potrzeby praktycznej. W starożytności Grecy, a potem Rzymianie, bynajmniej nie gardzili teoretycznymi wskazówkami przy ćwiczeniach praktycznych. Dlatego też cenili naukę o artystycznych właściwościach utworów poetycznych, czyli poetykę; naukę o umiejętnem prowadzeniu dyskusyj, czyli dialektykę; naukę o sposobach zniewalania słuchacza lub czytelnika, czyli retorykę. Stylistyka u Arystotelesa stanowi ostatnią (trzecią) część retoryki, i dlatego niektórzy nawet terażniejsi uczeni stylistykę stawiają w bezpośrednim związku z retoryką. R. M. Meyer (Deutsche Stilistik, München 1913) uważa stylistykę za naukę pokrewną retoryce, gdyż pierwsza uczy pisać, druga zaś — mówić.

Stosunek stylistyki do retoryki u Arystotelesa jest inny i ostatnia (trzecia) część jego Retoryki wprawdzie nie nosi nazwy stylistyki, lecz rozprawia o stylu tak samo zresztą, jak i we wcześniejszej jego Poetyce rozdziały XX do XXII włącznie zajmują się roztrząsaniem stylistycznymi. Tak więc stylistyka jest tu niejako nauką pomocniczą względem poetyki i retoryki.

W Poetyce Arystoteles rozpoczyna od najprostszych dźwiękowych i znaczeniowych elementów językowych, rozprawia o imionach i czasownikach, o ich odmianach gramatycznych, o wyrazach prostych i złożonych. poczem dopiero przystępuje do zagadnień istotnie stylistycznych, tu jednak mało jest jeszcze systematycznym; pisze on np.: »Wszelkie imię jest imieniem albo zwykłym, albo obcym, albo przenośnią, albo wyrażeniem ozdobnym, albo nowoutworzonym, albo rozszerzonym, albo skróconym, albo zmienionym«. Przenośnię objaśnia jako przemianę pewnego wyrazu na wyraz o innym znaczeniu, na rodzaj z gatunku, albo na gatunek z rodzaju, albo na gatunek jeden z gatunku drugiego, albo jako przemianę na zasadzie stosunku, innemi słowy rozumie on tu metaforę, meto-

nimję lub synegdochę. Objaśnienie wyrażenia ozdobnego pominął, a imiona »rozszerzone«, »skrócone« i »zmienione« pojmował czysto formalnie (brał pod uwagę wzdłużenie lub skrócenie samogłoski lub użycie mniej zwykłego przyrostka zamiast ogólniej używanego). Do jakiego stopnia mieszał tu gramatykę ze stylistyką, przekonamy się, czytając koniec rozdziału XXI, gdzie po klasyfikacji imion według zasad stylistycznych następuje ich podział według końcówek rodzajów gramatycznych.

Rozdział XXII ma charakter bardziej jednolity. »Zaletą wyrażenia — czytamy tam — jest, żeby jasne było, a przecież nie pospolite«. Ale to niełatwo da się osiągnąć, gdyż jasność polega na wyrażaniu się w sposób powszechnie używany, a to właściwie nadaje wyrażeniu cechę pospolitości. Niezwykłość wyrażenia, czyli wszystko to, co wychodzi poza pospolitość, nadaje mowie charakter uroczysty. Niepodobna jednak używać samych tylko wyrazów rzadkich, gdyż w takim razie mówilibyśmy samemi zagadkami lub barbaryzmami (gdyby te rzadkie wyrazy były zapożyczone). Zwłaszcza zagadka wiąże się ściśle z przerośnią, ale unikniemy niejasności, jeśli wyrazy rzadkie, przerośnięte, wyrażenia ozdobne mieszać będziemy z wyrazami pospolitemi, gdyż te właśnie nadadzą wtedy mowie naszej dostateczny stopień jasności. Arystoteles zaleca używać zwłaszcza wyrazów, w których pospolitsze przyrostki zastąpimy przez mniej pospolite, gdyż wtedy osiągamy niezwykłość bez zatracenia jasności. »Ważną jest rzeczą — pisze — on — używać wszystkich tych sposobów należyście... a najważniejszą — umieć się posługiwać przerośniami. Jest to objawem talentu i niepodobna zalety tej nabyć od kogoś innego. Umieć się pięknie wyrażać z pomocą przerośni znaczy posiadać zdolność chwytania podobieństw«.

Znacznie obszerniej Arystoteles rozwodzi się o stylu w trzeciej części Retoryki. Część pierwszą tego dzieła tworzy rozprawa o tem, że, chcąc mówić o jakimś przedmiocie, trzeba go poznać dokładnie. W części drugiej zawierają się spostrzeżenia z psychologii uczuć, gdyż, jeśli chcemy wpłynąć na kogoś, musimy zastosować sposób swego przemawiania do natury jego wrażliwości. Część trzecia w siedmiu końcowych rozdziałach daje zasady budowy utworu retorycznego, w pierwszych zaś dwunastu wyłuszcza środki językowe, z których pomocą wpływać możemy na cudze uczucia lub wyobraźnię, a zatem tu właśnie znalazły się uwagi o stylu.

Środkom stylistycznym filozof grecki nie przypisuje zbyt wielkiego znaczenia, jeśli chodzi o czystą prawdę, gdyż tę można wykazać bez względu na więcej lub mniej piękny język dowodzenia; to też nikt nie ucieka się do ozdób stylistycznych przy wykładzie

np. geometrii. Ludzie jednak wedle drastycznego wyrażenia Arystotelesa ulegli w pewnym stopniu zepsuciu moralnemu i dlatego chodzi im nie tylko o sam przedmiot, ale także i o sposób jego przedstawienia, czyli o styl, wskutek czego zdarza się i tak, że potęga zapisanej mowy zawiera się więcej w stylu, aniżeli w myślach.

Wykład Arystotelesa nie we wszystkich szczegółach jest zupełnie jasny, cechuje go bowiem wielka zwięzłość, przyczem użyte tam terminy niezawsze są dostatecznie objaśnione; poza tem z dzisiejszego punktu widzenia sposób przedstawienia rzeczy wydaje się niezupełnie systematyczny, to też w streszczeniu poglądów Arystotelesa na cechy i rodzaje stylu nie trzymamy się niewolniczo kolejności poruszonych przez niego zagadnień.

Za pierwszą, najważniejszą zaletę stylu Arystoteles uznaje jasność, która zależy od właściwego uporządkowania zdań zależnych oraz od używania wyrazów w ściśle określonym znaczeniu, przez co unika się dwuznaczności. Nadto, jeśli chcemy mówić lub pisać jasno, musimy się posługiwać wyrazami, znanymi powszechnie; to jednak naraża nasz styl na zarzut, że przez to staje się on zbyt pospolitym, gdy tymczasem — jak o tem była już mowa w Poetyce — styl nie powinien być ani zanadto pospolitym, ani zanadto górnym. Należy się więc kierować umiarkowaniem w doborze wyrazów t. j. w pewnej tylko mierze posługiwać się wyrazami rzadszemi, np. zapożyczeniami, nowotworami, przenośniami. Nadmiernie używane te środki, zwłaszcza mniej rozpowszechnione wyrazy złożone, jako też zbyt obfite epitety lub metafory wytwarzają oziębłość stylu, który wtedy wydaje się sztucznym, nienaturalnym, nieszczerem. Natomiast styl posiada potrzebne zalety, gdy go przenika uczucie, gdy odbija się w nim charakter pisarza lub mówcy, bo to czyni styl naturalnym. Wreszcie styl musi być przystosowany do natury przedmiotu.

Pisać można zwięzle lub rozlewnie: zwięzłość stylu polega na oznaczaniu każdego pojęcia przez wyraz właściwy, a nie przez opis lub peryfrazę, gdyż to właśnie jest przyczyną rozlewności stylu. Nie pisze też zwięzle, kto określa przedmiot przez wyliczanie cech, których ten nie posiada; takie opisy mogą się ciągnąć bez końca. Arystoteles nie zaznaczył tego, że styl zwięzły ma w sobie moc i działa silniej na uczucie, rozlewny zaś, epiczny, sprzyja plastyczności, działającej na wyobraźnię.

Niezupełnie jasne i tylko ogólnie ujęte są poglądy Arystotelesa na rytmiczność stylu. Dadzą się one ująć w dwa punkty: język prozy powinien być rytmiczny, ale nie metryczny, gdyż metryka stosuje się tylko do wierszy. Powtórę wadą stylu jest jego bezokreślowość, kiedy zdania za zdaniem następują po sobie z nużącą je-

dnostajnością; mowa powinna się składać z okresów dłuższych i krótszych, nadających wykładowi rytmiczny charakter ogólny przez stosowanie rozłożonych w pewien sposób przestanków i spadków głosu. Okresy nie mają być ani zbyt długie, ani zbyt krótkie; budowę ich reguluje podział na dwie części, w jakiś sposób uwydatniony przez ich zestawienie lub przeciwstawienie.

Najwięcej Arystoteles pisze o przenośni, tłumacząc jej naturę i użycie. Metaforę zestawia z porównaniem i przytacza szereg przykładów mających stwierdzić, że między metaforą a porównaniem zachodzi różnica wyłącznie formalna. I porównanie, i metafora gruntuje się na spostrzeżeniu jakiejś cechy wspólnej dwu przedmiotów. Odnajdywania tych cech wspólnych stylistyka nauczyć nie może; zadaniem jej jest jednak pouczyć o właściwościach porównań i metafor. Otóż przedewszystkiem metafora wtedy się podoba, kiedy nas o czymś poucza (t. j. odkrywa nam jakąś cechę, nie zauważoną przez nas dotychczas) i kiedy cechę tę odrazu postrzegamy, zasłyszawszy metaforę; tu więc Arystoteles podnosi najważniejsze zalety przenośni: doraźność (musi być cecha postrzeżona samodzielnie), nowość, przejrzyłość.

Według słów Arystotelesa z czterech rodzajów przenośni największe znaczenie mają metafory, oparte na zasadzie podobieństwa, takie bowiem są wyraziste (plastyczne), zwłaszcza kiedy wystawiają przedmiot w działaniu. Pochodzi to stąd, że wtedy przedmiot martwy ożywia się w naszej wyobraźni. Szeregi przykładów objaśniają teorię, w której Arystotelesowi nie chodziło o wyczerpującą klasyfikację różnych figur i postaci krasomówczych. Tak np. wspomniawszy o czterech rodzajach metafor, ograniczył się do omówienia tylko jednego ich rodzaju i niewiadomo, czy miał tu na myśli metonimję, synegdochę i jeszcze jakiś rodzaj szczególny, czy też właściwą metaforę i uznane przez niego za pokrewne z nią: porównanie i hiperbolę, a przytem jeszcze jakiś nieznaną bliżej rodzaj.

W rozdziale dwunastym Arystoteles, kończąc swą naukę o stylu, wraca znowu do zalecenia, aby styl stosować do przedmiotu i do rodzaju mowy: piśmiennej polemicznej, naradnej czyli radzieckiej, i sądowej. W obu więc swych dziełach: *Poetyce* i *Retoryce* dał on istotne podstawy stylistyki, która potem zeszła w Grecji na poziom martwej formalistyki, zwłaszcza w II wieku przed Chr., kiedy »Hermagoras z Temnos — jak pisze prof. Morawski w dziele o Cyceronie — ułożył system retoryki pełen dystynkcyj i wskazówek na wszelkie przypadki i potrzeby. A w następnych czasach i wiekach uchodził ten Hermagoras za powagę, jego dzieło za kanon wiedzy potrzebnej dla mówcy«.

Na gruncie rzymskim teoria stylu ukazuje się w związku z retoryką, zwłaszcza w pismach Cyserona i Kwintyljana. Pierwszy, sam będąc sławnym mówcą, nie szedł za ówczesnymi retorami, którzy za przykładem Grecji w retoryce widzieli tylko rutyniczne, rzemieślnicze przepisy, ograniczając się wyłącznie do retorycznej techniki. Domaga się więc, podobnie jak Arystoteles, od mowcy znajomości przedmiotu, o którym ma przemawiać, nauki i doświadczenia życiowego (*De oratore*), mniej ceniąc technikę wymowy; to też o stylu retorycznym niewiele pisze; zlekka tylko tej rzeczy dotyka. W innym dziele (*De claris oratoribus*) broni w zasadzie stylu ozdobnego w krasomówstwie, ale także się w szczegóły nie zapuszcza; natomiast najobszerniejsze uwagi zagadnieniom stylistycznym poświęca w trzeciej rozprawie, traktującej o wymowie (*Orator*), gdzie pisze o doborze wyrazów, o ich układzie, o figurach i o rytmie prozy, w czym niektórzy upatrują naśladownictwo trzeciej księgi *Retoryki Arystotelesa*.

Stylistycznym uwagom poświęcił Kwintyljan w końcu I w. po Chr. cztery księgi (VIII do XI) dzieła swego: *Institutio oratoria*, gdzie broni prostoty, a powstaje przeciwko przesadzie i nienaturalności ówczesnych sofistów i retorów. Ci, szczególnie w II w. po Chr., uprawiali naukę popisów deklamacyjnych, opartych głównie na pustych frazesach i różnych sztuczkach retorycznych. Dzięki im głównie stylistyka na długie wieki stała się zbiorem niezmiernie szczegółowych formalistycznych przepisów, co spowodowało zupełny upadek tej nauki.

Wszyscy pisarze starożytni mieli jeden rys wspólny: retorykę, a z nią i stylistykę uważali za naukę mówienia i pisania, jakkolwiek zastrzegali się, że teoria nie wystarcza i że dobrym poetą lub mówcą trzeba się urodzić. (D. c. n.) *Jan Łoś.*

Język „familijny“.

Tak go nazwijmy na razie, a jeżeli komuś się nie podoba nazwa, niech szuka lepszej i odpowiedniejszej. Zapewne bardziej po polsku brzmiałoby: język »rodzinny«, cóż, kiedy rodzinnym językiem zwiemy język »ojczysty«, a nie o ten tu chodzi.

Językiem dzieci zajmowano się dużo, nawet i nasza wychowawcza i językoznawcza literatura posiada ciekawe badania na tem polu. Mamy też rozprawy o stylu powieściopisarzy i poetów, całe słowniki języków t. zw. »zawodowych« i »tajnych« — podział zresztą

nieściśly, bo przecież język »zawodowy« jest równocześnie i »tajnym«, niezrozumiałym dla niepracujących w danym zawodzie. Brak natomiast szczegółowych badań codziennego języka i stylu przeciętnej jednostki — lub jednostek, żyjących bliżej z sobą czy jako rodzina, czy jako towarzystwo, języka osobników różnego wieku, różnego zawodu, odmiennych usposobień i rozmaitej inteligencji.

Już dzieci, gdy temu sprzyjają okoliczności, wytwarzają w swoim kółku język, który zrozumie tylko najbliższe ich otoczenie, matka, ojciec, niania. Każdy zresztą człowiek posiada własny język, sobie tylko właściwy styl, sposób mówienia. A więc ile mózgów i ust, tyle języków. Dziwna rzecz, tak pospolite i codzienne zjawisko spotyka się z niedowierzaniem, nawet z zaprzeczaniem. Pochodzi to stąd, iż wahania między pojedynczemi, codziennemi językami są naogół nieznaczne i nie narzucają się naszej świadomości. Trudno czasem przekonać o tym pewnika nawet wcale inteligentnego obserwatora, któremu kiedyś ktoś wbił w głowę, że różny styl to cecha wyłącznie powieści, poezji i dramatu, nie zaś codziennego życia. A jednak proste przykłady naprowadzą niedowiarka do wniosku, że nie tylko Sienkiewiczowski Putrament z Maripozy mówi specjalnym stylem, »językiem ojców naszych« i Wujka. Z czegoż np. powstały znane z historii przezwiska jak *Revera Potocki* lub *Henryk II Jasomirgott*? Tylko dzięki wtrącaniu w potoczną mowę pewnych wyrazów czy zwrotów, których inni im współcześni nie używali, przeto uznawali za osobliwe i godne podniesienia do rzędu przezwisk. »Lecz poco zbiegłe wywoływać wieki«, skoro i dzisiaj po wsiach tworzą się w ten sam sposób przydomki? A czyż w najbliższem kole znajomych niema podobnych objawów? W czasach akademickich np. zwaliśmy w ścisłym kółku profesora językoznawstwa indoeuropejskiego w Krakowie Janem Michałem *Respective* od częstego używania tego wyrazu.

Niekoniecznie osobliwy wyraz musi wywołać powstanie przydomku. Znamy przecież wielu ludzi, używających dziwacznych wyrażań, i to nie jednego, ale całej ich obfitości, a przecież żadne z nich nie stało się przezwiskiem. Być może, iż właśnie dzięki większemu nagromadzeniu słownikowych osobliwości żadna specjalnie słuchaczom się nie narzuca; wszystkie razem tworzą styl danego osobnika. Tak np. jeden z krakowskich slawistów z pasją chodzi na herbatki i fiksy, by pogadać ze znajomemi »paszczami«, po wizycie nie schodzi lecz »spada na dół«, pisze »groźne« dzieła o języku połabskim i akcencie pomorskim, i zajada ze smakiem »przeraźliwe« ilości ciastek, czem wywołuje zupełne zdumienie u znacznie starszego kolegi »po fachu«, nie znajdującego się na tak mocnych obrazach. Inny

znów t. zw. »ściśły« filozof (z pod sztandaru stoików, nieuleczalnych optymistów i chronicznych golców) »dziwnie« dziesiąty rok zdaje doktorat i »dziwne« ma dziury w kieszeni, ale liczy zawsze z »dziwną« nadzieją na błogosławioną chwilę, w której mu, chyba z nieba, kapną »dziwne« talary. Sam autor niniejszego artykułu także grzeszy (w mowie) pewnym dość niejasno, a nawet niemoralnie dla purystów brzmiącym dodatkiem »zgoła«, wskutek czego »zgoła« był na wycieczce i »zgoła« zbierał pieśni wiejskie na tzw. panieńskim wieczorze.

Temi prostymi przykładami może językoznawca przekonać niewiernych Tomaszów, że nawet najprzeciętniejszy człowiek posiada w istocie własny styl, nie mówiąc już o tem, że każdy ma inną, sobie właściwą wymowę dźwięków. Na rozwój stylu u poszczególnych osobników wpływa, prócz czytania i wykonywania pewnego zawodu, wrodzona inteligencja, zdolność do obrazowania i plastycznego przedstawiania, podatność stylom otoczenia, wrodzony dowcip i humor, talent karykaturalnego słowotwórstwa i szereg innych współczynników. I o tem wszyscy wiemy, ale dotychczas obracamy się tu w sferze tylko ogólnych stwierdzeń, podczas gdy szczegółowe badania są jeszcze w powijakach. Co prawda, leży przed nami w tym względzie ogromne pole do studjów, bo przecież każdy czynnik wymaga z osobna opracowania. Dodajmy do tego wpływ językowego obcowania ludzi z ludźmi, t. j. rozmowy, której ciekawe uwagi poświęca socjolog G. Tarde, a będziemy mieli z jednej strony już wszystkie główne motory rozwoju stylu, z drugiej strony wrócimy do właściwego tematu.

Otóż chcę przedstawić na przykładach, zaczerpniętych z codziennego życia jednej rodziny, jak wpływa na siebie językowo parę jednostek, jak z biegiem czasu wytwarza się w ich gronie przy twórczości każdej z nich z osobna wspólny język »familijny« głównie w zakresie słownictwa. W zasadzie nie różni się więc od języka dzieci, a co za tem idzie, od języków t. zw. tajnych. Oczywiście rzecz, że taki typ języka może powstać i w gronie, nie stojącym z sobą w stosunku pokrewieństwa, np. w gronie żytych z sobą przyjaciół, jednak przypuszczalnie trafia się to stosunkowo rzadziej, gdyż ustawiczne obcowanie i ciągła wymiana myśli jest najłatwiejsza w kole rodzinnem.

Rodzina, którą tutaj mamy na widoku, należy do stanu średniego, składa się z ojca, matki i pięciorga dzieci. Z tych osób ojciec zachowuje się względem domowej gwary dość odpornie: rozumie ją wprawdzie, sam jej jednak nie używa; jest dla niego nieco »mocna«. Ale i »pater familias« czasem mimowoli poddaje się

jej wpływowi. Matka używa tego języka na równi z dziećmi. Młodzi, w wieku od 17 do 30 lat, dźwigają na swoich barkach konstrukcję gwary; od nich ona wyszła i od nich rozchodzi się na resztę rodziny. Udział każdego z młodszych w twórczości jest bardzo różny: jedni dają mniej, drudzy więcej osobliwości. Prócz utworzonych w tem kole zwrotów i wyrażeń, mają kurs również przyniesione z poza rodziny, a gościnnie przez nią przyjęte, zwłaszcza ze słownika studenckiego i ulicznego; więc jedni więcej przynoszą przybyszów, inni więcej sami tworzą. Stopień inteligencji twórców jest dość wysoki, a ukończone studja przedstawiają się w ten sposób: osobnik A i B — filozofja, trzy inne — szkoła średnia. U wszystkich duże odczytanie.

Trwanie języka »familijnego« tej piątki można obliczyć już na pięć lat; oczywiście tak daleko wstecz sięgają tylko jego podstawy, t. j. pewna tylko część wyrażeń posiada wiek tak szacowny. Inne są znacznie młodszemi nabytkami. Pewne zwroty już zupełnie wyszły z obiegu, inne są już na wymarciu, a na ich miejsce wciąż dochodzą nowe; zjawisko powszechne w każdym typie językowym.

Ważnym szczegółem jest naturalne powstanie naszego języka; nie jest on typem Esperanta, nie jest utworem sztucznym i nie powstał drogą umowy. Nie należy sobie wyobrażać, że dla przedmiotu czy osoby, którą należy ochrzcić tajemniczą nazwą, szuka się owej nazwy i podaje różne propozycje tak długo, póki najlepsza nie uzyska ogólnego uznania. Bynajmniej. Weźmy np. wyraz *zycbad*, który w naszym języku oznacza wszelkie zebranie towarzyskie, posiedzenie, przyjmowanie gości, a więc np. fiks, proszony obiad i t. p. Czy w gronie rodziny ogłaszano coś w rodzaju konkursu lub namyślano się godzinami nad tem, jak możliwie najtrafniej nazwać owe zebranie? Czy osobnik A przedstawił swój projekt, a osobniki B, C, D, E inne pomysły nazwy? Nie, wszystko powstało naturalną drogą dobrego humoru. A więc któryś z osobników w przystępie wesołości — a zarazem i znużenia konwencjonalnem »zbiegowiskiem« — nazwał pewnego razu tak zachwycający obrzęd towarzyski »*zycbadem*«; zapewne miał na myśli przymusowe odsiadanie z gośćmi, którzy go nie a nie nie obchodzili, więc coś w rodzaju przymusowych zabiegów leczniczych, coś z zakresu niewygodnych pozycji. Dość, że obrazowego porównania użył ku wielkiej radości słuchaczy. Wyraz się podobał, użyto go raz, drugi, trzeci, pierwotnie w początkowem znaczeniu, t. j. na oznaczenie konwencjonalnych zebrań, potem zaczęto tak nazywać i uroczystości rodzinne, potem nawet zebrania wśród najserdeczniej się kochających, wszelkie zgromadzenia naukowe, odczyty, aż wreszcie niepostrzeżenie stał się współ-

nem dobrem familji i utrwalił się w jej gwarze. Tak powstały wszystkie inne osobliwości familijnego słownika.

(D. n.)

J. Zborowski.

Z dziejów polskich wyrazów i zwrotów.

Dawne przysłowie.

Kilka przysłów staropolskich ogłosił Brückner (zob. J. Łosia Przegląd językowych zabytków staropolskich, str. 314—15). Prof. Rubczyński znalazł ostatniemi czasy jeszcze jedno w traktacie »De ypcrisi« Mateusza z Krakowa. W tekście tego traktatu czytamy ustęp potępiający tych, co bluźnią Bogu słowem lub uczynkiem i między przykładami bluźnierstw takich przytoczono zwyczaj mówienia w języku ludowym: *Czsoz na bok spuszcil, tho yest yusz straczono* (»Coś na Bog spuścił, to jest już stracone«, czyli: »co zdałeś na Boga, to już straciłeś«). Że tu formę *bok* trzeba czytać »Bóg«, jako dawny biernik, na to wskazuje nietylko nazwanie tego wyrażenia bluźnierstwem, ale stwierdza to też i dodany przekład łaciński: *causa illa, que ad Deum differtur, vel Deo promittitur, iam est perditu*. Ponieważ tekst polski przysłowia wpisała do tekstu dzieła ręka samego autora, przedtem bowiem powiedziano: *prout moderni habent de suo more dicere vulgariter: Czsoz* i t. d. przeto stwierdzić trzeba, że Mateusz z Krakowa, a zapewne i inni mieszczenie krakowscy, mimo pochodzenia niemieckiego, na przelomie wieku XIV i XV za (swój) język ludowy uważali polski. Traktat Mateusza »De ypcrisi«, pisany w pierwszej połowie w. XV znajduje się w rp. Jag. Nr 2398.

Przysłowie »bluźniercze« dziś jest nieznane; u Adalberga znajdujemy podobne, ale w sensie odwrotnym: »Bóg nie opuści, kto się nań spuści« (z Knapjusza), »Gdo się na Boga spuści, tego Bóg nie opuści« (z Cinciały). Pisownia stara »na bok« mogłaby wskazywać, że mieszano tu formy »Bog« i »bok«, ale nie znamy wyrażenia »na bok spuścić«, a wyrażenia zapisane u Lindego: »Skoro się Alecybjades u niej pokazał, inni poszli na bok« i »Gdzie idzie o uszczęśliwienie twoje tam wszystko na bok odrzucam« z przysłowiem naszym nie mają nic wspólnego; w nich »na bok« można zastąpić przez »na stronę«.

J. Ł.

Żóraw.

Wyraz ten oprócz właściwego ma także znaczenie przenośne, powszechnie znane: »żóraw u studni«. Nazwę tego przyrządu

do wyciągania wiadra z wodą rozciągnięto na inny rodzaj przyrządów, służących do podnoszenia ciężarów, mianowicie na »żórawie« używane przy ładowaniu statków, jakkolwiek kształt i czynność tych żórawi różni się znacznie od kształtu i czynności żórawi studziennych. W czasach dawniejszych »żóraw« miał jeszcze jedno znaczenie, mniej dziś znane: oznaczał on most zwodzony, gdyż, kiedy go na łańcuchach podnoszono i spuszczano, miał on ruch podobny do ruchu żórawia studziennego. W legendzie o św. Aleksym, znanej w odpisie z r. 1454 powiedziano, że Aleksy spotkał ojca swego »na żórawiu« i że go prosił o jałmużnę przed grodem t.j. zamkiem, a w słowniku Bartłomieja z Bydgoszczy r. 1532 czytamy: »żoraw pons pendiculus«. Widocznie zauważono, że, kiedy ptak żóraw spuszcza głowę ku ziemi, nie wygina szyi, lecz trzyma ją sztywno, i stąd zastosowanie nazwy ptaka do przyrządu studziennego i do mostu.

J. Ł.

Stara nazwa monety.

Nazwy monet w Polsce zwykle były obcego pochodzenia, nie-raz bardzo spolszczone np. *skocięć* potem *skojec*, *ort*, *grosz*, *dukat*, *floren*, *talar* i t. d. *Pieniądz* miał pierwotnie znaczenie feniga. Słowiańską nazwą była *grzywna*, polską *złoty*, ale prócz tych i innych znanych nazw była jedna oddawna zapomniana: w Kodeksie Wielkopolskim I, 408 pod rokiem 1277 czytamy: *A moneta, que dicitur obras*, i tenże wyraz *obraz* powtarza się jeszcze dwukrotnie (str. 418 rok 1278 i III, 204 pod rokiem 1362). Zdaje się, że poza Wielkopolską wyraz ten był nieznan, a i tam wyszedł on z użycia w XIV w., zapewne wyparty przez *pieniądz*. Jak się zdaje, *obraz* nie był nazwą monety, pewną określoną wartością mającej, ale w ogólności monety metalowej. *Obraz* w języku ogólnopolskim znaczył niegdyś to samo, co dziś *rzeźba*, i ma z nią wspólne pochodzenie od *rzezać* czyli raczej *rzazać*, oznacza więc przedmiot dookoła okrajany, obrzezany.

J. Ł.

Rocznik Sławistyczny.

Niedawno wyszedł z druku ósmy tom »Rocznika Sławistycznego«. Poważne wydawnictwo nie »utknęło« mimo trudnych warunków wojennych i ma coraz więcej danych do zastąpienia zamkniętego, zdaje się, już »Archiwu« Jagińca. Oczywiście tylko w językoznawczych sprawach jest jego spadkobiercą, bo nie para się historją literatury

i kultury słowiańskiej. Te działy muszą znaleźć nową ostoję w osobnym czasopiśmie — oby znowu zapoczątkowanem w Polsce.

Tym, którzy nie znają jeszcze krakowskiego »Rocznika«, wyjaśniamy, że składa się z prac samodzielnych, zwykle jednej lub dwóch, dalej z drobnych notatek, recenzyj i z bibliografji prac, dotyczących gramatyki słowiańskiej. Autorom pozostawiono swobodę wypowiedzania się w jakimkolwiek języku słowiańskim, względnie francuskim lub niemieckim, wskutek czego wydawnictwo skupia koło siebie uczonych wszelkich narodowości. Obecny tom odchylił się nieco od tej zasady, przynosi bowiem prace wyłącznie polskich badaczy z jednym wyjątkiem (van Wijk z Holandji). To jednak wynik dzisiejszej chwili, która rozerwała łączność między uczonym światem i uniemożliwiła zgromadzenie zagranicznych sławistów w krakowskim ośrodku. Z drugiej strony świadczy to nieźle o naszej sławistycznej wiedzy, niedawno jeszcze dość zaniedbywanej, skoro nie musi oglądać się za obcemi siłami dla podtrzymania wydawnictwa.

Nas w »Języku Polskim« obchodzą przedewszystkiem prace odnoszące się do naszego języka.

Pierwsza rozprawa Jana Łosia zapoznaje nas z przyszłym staropolskim słownikiem, do którego wzdycha nietylko gramatyk, ale którego dotkliwy brak odczuwa i literat, skwapliwie wskrzeszający w swych utworach nieocenioną spuściznę średniowiecznej mowy (por. uwagi Żeromskiego w »Projekcie Akademji literatury polskiej« Warszawa 1918). Zdobyli się Rosjanie na staroruski słownik, Czesi wydali do połowy staroczeski dorobek leksykalny — my jeszcze ciągle znajdujemy się w okresie zbierania materiałów. A zbieramy od 1873 r., przyczem pierwsze dwudziestoletnie stadium pracy nad słownikiem polega na kilkakrotnem zmienianiu pierwotnego planu, na zmarnowaniu prac przygotowawczych, wielu wysiłków i czasu. Zapoznaje nas autor szczegółowo z ową epoką niezaradności, wynikłej tak z braku z góry określonego planu, jak i z winy niedostatecznie przygotowanych współpracowników. Z tych szczegółów wystarczy nam zapamiętać, że pierwotny plan Antoniego Małeckiego zalecał wydanie słownika, obejmującego czas od XIV do XIX wieku włącznie, z pominięciem źródeł wyczerpanych przez słownik Lindego, natomiast z uwzględnieniem wyrażań ludowych i prowincjonalizmów. Weznie jednak odstąpiono od myśli tak obszernego dzieła, ustalili się zaś zamiar wydania specjalnego słownika starej polszczyzny od pierwszych zabytków do połowy XVI wieku. Wykonaniu tego planu poświęciła spora ilość współpracowników niemało czasu i zapału. Jednakże z powodu ujemnej organizacji i nie-

jednolitej metody gromadzenia materiałów, nadto z powodu odkryć nieznanych dotąd staropolskich zabytków i braku krytycznych ich wydań, — niesystematyczna robota wyników nie dała.

Ustalenie dzisiejszego systemu prac przygotowawczych jest zasługą Baudouina de Courtenay. Dzięki jego metodzie gromadzenia materiału i ujednostajnienia drobiazgowych czynności słownikarskich praca weszła na właściwe tory. Autor, który po Baudouinie jest redaktorem naszego słownika, przedstawia nam dokładnie, jak z zabytków wypisuje się, gromadzi i porządkuje materiał językowy na tysiącach kartek; z tych tysięcy wybierze się przy ostatecznej redakcji część tylko, niezbędną do wszechstronnego obrazu polskiego słownictwa średniowiecznego. Nader skrupulatnie i drobiazgowo opisanej metody i techniki słownikarskiej, porównanej z systemami innych analogicznych słowników, nie sposób tu streszczać. Tyle tylko godzi się podać dla wiadomości niezawodowców, że jest ona naprawdę nawskróś obmyślana i doprowadzona do niemałej doskonałości. Wymaga jednak dużego nakładu pracy i czasu. Dlatego też zapewne nieprędko ujrzymy pierwsze arkusze słownika, skoro obok redaktora w tej niezmiernie żmudnej pracy bierze udział bardzo szczupła garstka współpracowników stałych, zresztą niezbyt dawno zajętych; pomocnicy zaś dorywczo zatrudnieni obok dobrych chęci wykazują nieraz brak znajomości ustalonej metody lub należytego przygotowania zawodowego tak, że redaktor musi ustawicznie kontrolować ich pracę, tracąc dużo czasu na podrzędne zajęcia. Widziałem to nieraz, zresztą — jako przed paru laty dorywczy współpracownik — »mówię — bom smutny — i sam pełen winy«.

Dodać jeszcze trzeba, że staropolski słownik będzie tylko wykazem imion pospolitych. Imiona własne i nazwiska, o ile nie są jednoznaczne z imionami pospolitemi (np. Papiież, Jaskółka), mają w przyszłości złożyć się na osobny onomastyczny słownik. Nie zamierza wreszcie redaktor zaopatrzyć wyrazów w objaśnienia etymologiczne wobec niepewności i zmienności etymologicznych wywodów. Takie stanowisko zapewne zaczepi niejeden etymolog i będzie się domagać wprowadzenia do słownika zestawień porównawczych, zdaje się jednak, iż bez tego dodatku dzieło będzie mieć przecież epokową i trwalszą wartość.

Monografią z zakresu geografji wyrazów jest rozprawa Kazimierza Nitscha. Jest to dział zaniedbany dotąd w slawistyce, podczas gdy na zachodzie zwrócono już dawno uwagę na wielką wartość systematycznych zbiorów nowoczesnego materiału słownikowego. Badania tego rodzaju przyczyniają się nietylko do rozjaśnienia wzajemnych stosunków między gwarami pewnego obszaru ję-

zykowego, ale zarazem ułatwiają poznanie jego kultury, jego uleganie wpływom obcej cywilizacji oraz ścieranie się w jego obrębie kultur poszczególnych plemion czy szczepów.

Dla przykładu i zrozumienia, czym jest i co nauce daje geografia wyrazów, weźmy tak pospolitą nazwę ptaka domowego jak *kogut*.

Oczytani w języku książkowym jesteśmy skłonni mniemać, że na całym obszarze polskim wyraz *kogut* jest jedyną nazwą tak w ustach inteligencji jak i ludu, przyczem rzadko w tem znaczeniu używanego *kura* uważa się zwykle za coś niejako »odszywanego«, przystającego raczej językowi poetów. Tymczasem coś innego wskażą nam gwarowe słowniki i mapa wykreślona na ich podstawie. Mianowicie okazuje się z badań, że cały zachód Polski, więc Wielkopolska, Górny Śląsk i północna część Śląska Cieszyńskiego, mówi wyłącznie *kokot* (przyczem są odmiany np. *kokut*, *kukot* i t. d.), północna zaś, np. Kaszuby, dalsze Mazowsze, zna *kura*. Natomiast cały obszar północno-zachodni (prócz Kaszub) używa wyłącznie form pochodnych od *kura*, więc *kuraka*, *kuróna*, *kurasa*; ta sama postać występuje rzadko w pasie podgórskim mniej więcej od Białej po Myślenice. *Piejakiem* zowie znów naszego ptaka zachodnie Mazowsze i ziemia Dobrzyńska, literacki zaś *kogut* (z odmianami *kohut*, *kobut*) obejmuje całą resztę Polski, czyli jej wschodnią połać.

Takie jest geograficzne rozmieszczenie nazw oznaczających koguta na obszarze języka polskiego. Rozumiemy już teraz znaczenie terminu: geografia wyrazów.

Jakiż stąd pożytek dla nauki? Ołóż wnioski autora, oparte na wyżej skreślonym dzisiejszym stanie i na danych z przeszłości, streszczają się w tem, że niegdyś tylko wyrazy *kur* i *kokot* były znane Polakom; Wielkopolska (bez Kujaw i Pałuków), Wieluńskie, Śląsk, zachodnia Małopolska (bez podgórze) nazywała ptaka *kokotem*, reszta Polski *kurem*. I do dziś dnia w gwarach, w których mówi się o *kokocie*, — niema równocześnie nazwy: *kur*. A więc pod tym względem cała Polska dzieliła się niegdyś na dwa obszary. Z biegiem czasu, w XVI wieku, wciska się wyraz *kogut*, może przybył z Czech, i wypiera stopniowo dawne nazwy. Jeszcze później przybiera wyraz *piejak*.

Wybitną różnicę kultury w polskiej przeszłości wykrywa badanie terminologii gospodarsko-budowniczey między Małopolską i Wielkopolską z jednej, a Mazowszem z drugiej strony. Części domu i stodoły jak *przycieś*, *kalenica-kalonka*, *boisko-bojewica*, zwane tak na obszarze mało- i wielkopolskim, mają zupełnie inne nazwy na Mazowszu, gdzie odpowiada im *podwalina*, *strop* i *klepisko*. Świad-

czą one również o dawnej odrębności kultury gospodarczo-budowniczej obu wymienionych obszarów językowych; odrębność zaś kulturalna odbiła się oczywiście i w słownictwie.

Z granicą między *kokotem* a *kurem* zgadza się niemal w zupełności linia graniczna między dwoma prasłowiańskimi wyrazami na oznaczenie części wozu, mianowicie między *sierdzeniem* (w Wielkopolsce bez Kujaw i zachodniej Małopolsce) i *sworzniem*, który panuje w reszcie Polski. Skoro zaś i *kokot* z *kurem* są również nazwami prasłowiańskimi, to trudno mówić o przypadkowości w takiej linii. Nitsch przyjmuje, że raczej należy uważać taki podział Polski za ślad dawnej, prapolskiej odrębności gwarowej; należyte jednak wyjaśnienie tego zjawiska i umocnienie wniosku może dać dopiero pogląd na geografję innych wyrazów sięgających najstarszej epoki samodzielności naszego języka.

Wreszcie jeszcze jedną zdobycz daje nauce geografja wyrazów. Rzut oka na mapę rozmieszczenia nazwań, czy zwierzęcych, czy z zakresu materialnej kultury, pozwala znacznie łatwiej i pewniej wnosić, w jakim kierunku i jak daleko sięgają nowsze obce wpływy. Taki *szpernal* wypierający staropolski *sworzeń*, w północnej Polsce, *kohut* zagnieżdżony na góralszczyźnie i w południowej części Cieszyńskiego Śląska i inne zapożyczenia — są pomocnemi w badaniach, skąd i dokąd zaszczerpiła się obca kultura na naszych ziemiach.

Z działu recenzyj dotyczą polskiego języka: omówienie przez Łosia nowego wydania »Psałterza Puławskiego«, którego dokonał bardzo pomyślnie St. Słoński, — oraz krytyczne uwagi Rozwadowskiego o badaniach nazw topograficznych wielkopolskich przez ks. Kozierowskiego, badaniach pierwszorzędnej wartości dla naszej wiedzy onomastycznej. Jakkolwiek i staropolskiemu zabytkowi i benedyktyńskiej pracy wielkopolskiego uczonego należałoby się tutaj dokładniejsza wzmianka, streszczenie czy recenzja recenzji nie jest wskazane w naszym czasopiśmie. Daleko korzystniejszym byłoby dla uczestników oddzielne omówienie dzisiejszego stanu i metody wydawania średniowiecznych pomników piśmiennictwa, dotkliwych braków krytycznych wydawnictw np. sądowych rot, oraz pogląd na znaczenie i wartość badań nazwisk ludzi i miejscowości. A choć obu sprawom poświęcono dość miejsca w naukowych i popularnych artykułach, nie zawadziłoby całkiem uprzystępnienie ich jeszcze raz w związku z dzisiejszym stanem nauki. W takich ogólnych rozprawach możnaby zapoznać czytelników z dziełem Słońskiego i Kozierowskiego.

Juljusz Zborowski.

Pytania i odpowiedzi.

Czy zwroty: brać udział, położyć koniec, być w stanie, są żywcem przyjęte z języka niemieckiego i czy je należy zastąpić słowami: uczestniczyć, zakończyć, zdołać lub podobnemi?

Rzeszów.

Ignacy Dębicki.

Wymienione zwroty są własnością całego cywilizowanego świata, istnieją też nietylko w języku polskim i niemieckim (gdzie zresztą się mówi *ein Ende machen*, a nie *ein Ende *hinlegen* jak w polskim), ale i w innych np. *finem facere*, *finem imponere*, *partem capere*, *participare*; *mettre fin*, *prendre part*, *être en état* itd., itd. A powtóre, przecież *czemuś koniec położyć* to nie to samo, co *coś zakończyć*; *zdołać* lub *móc* nie to samo, co *być w stanie*. Są tu przecież wyraźnie różne odcienie znaczeniowe, więc jakże można jedno drugiem całkowicie zastąpić? Zapewne, że nie wszystkie podobne zwroty i nie we wszystkich językach powstawały samorzutnie, ale to dlatego, że Europa i wogóle kultura ludzkości cywilizowanej tworzy oddawna — mimo wszelkich różnic — jedną wielką całość; i dlatego to, jak wogóle w kulturze tak i w wystawianiu się widać wszędzie potężny wpływ łaciński, a przez łacinę i Rzym — Grecji i greczyzny, tej kolebki nowożytnej kultury. Może być, że za Piastów Polacy nie używali zwrotu *brać udział*, ale jakże dojsć, czy go utworzyli za wzorem łaciny, czy niemczyzny, czy czeskiego i kiedy? A potem, co ważniejsza: dziś są takie zwroty ogólną własnością wykształconej ludzkości i nagle się ich pozbawiać znaczyłoby dobrowolnie się ubożyć. W końcu zwracamy uwagę, że całą sprawę rzekomych germanizmów (jakby nie było dosyć rzeczywistych!) i innych -izmów poruszył Język Polski z ogólniejszego stanowiska w roczniku I, str. 293 nast. (zeszyt grudniowy). J. R.

SPIS RZECZY: Bór i las A. Danysza. — Rytm i metry: 1. Stosunek jednych do drugich J. Łosia. — Potęgowanie pojęć i stopniowanie bezwzględne w języku polskim Wł. Niedźwiedzkiego. — Z dziedziny stylistyki J. Łosia. — Język »familijny« J. Zborowskiego. — Z dziejów polskich wyrazów i zwrotów. Dawne przysłowie. Żóraw. Stara nazwa monety J. Łosia. — Rocznik Sławistyczny J. Zborowskiego. — Pytania i odpowiedzi J. Rozwadowskiego.

CENA ZESZYTU K. 2:50.

Drukarnia Uniwersytetu Jagiell. w Krakowie pod zarządem J. Filipowskiego.